

PHENOMEN

The title 'PHENOMEN' is rendered in a bold, blocky, sans-serif font. Each letter is filled with a blue and white image that appears to be a close-up of a futuristic, metallic surface, possibly a helmet or a piece of machinery. The images are fragmented and layered, with some parts appearing to be broken or peeling away, revealing a lighter blue or white background. The letters are set against a vibrant red background that has a distressed, grungy texture, with some darker red and black areas at the bottom, suggesting a cityscape or a dark, industrial environment. The overall aesthetic is high-tech and action-oriented.

MACIEJ RAPA

PHENOMEN ® MACIEJ RAPA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środowiskach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Wydanie drugie.
Wojkowice 2024

ISBN: 978-83-67448-91-8
ISBN EBOOK: 978-83-67448-92-5

Redakcja: Luiza Dobrzyńska, Natalia Hermansa

Korekta: Natalia Hermansa

Projekt graficzny okładki: E.Raj

Ilustracje: Dorota Przemorska, Paweł Kuś

Skład: Marcin Halski

WYDAWNICTWO HM...

E-mail: redakcja@wydawnictwohm.pl
Telefon: 518833244
Adres: ul. Sobieskiego 225/9 42-580 Wojkowice

Wersja papierowa dostępna na:

WWW.WYDAWNICTWOHM.PL

PHENOMEN

MACIEJ RAPA

Wojkowie 2024

ROZDZIAŁ 1

Nowy Świat

– Jak to wygląda? – spytał Blady.

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, było pokręcenie głową przez Kukłę, który stał na drugiej grobli, kawałek dalej. Nieco dziwne zachowanie, zwłaszcza dla kogoś tak wygadanego jak on. Pewnie był już znudzony, a może nie chciało mu się wrzeszczyć na całe gardło?

Ale przecież nie musiał. Głos świetnie niósł się po powierzchni wody. Nawet teraz, kiedy jej kolor zmienił się na stalowoszary, bardziej przypominający płynny metal niż ciecz dającą życie na Ziemi.

– Cholera, znów to samo – powiedział, tym razem już do siebie.

– Spokojnie. – Diabeł poklepał go po ramieniu.

Blady poczuł na sobie jego dotyk pomimo grubej warstwy pancerza.

– Może powinniśmy pójść dalej? – dodał po chwili.

Dowódca zatrzymał się, obrócił i popatrzył na swego kompana.

Tak jak każdy z nich, Diabeł miał na sobie stalowoszary hełm, którego zapięcie boleśnie wbijało się w brodę. Ponadto jego twarz, chroniło ściśle przylegające gumowe oblicze maski

z możliwością doczepienia filtropochłaniacza. Szyję zakrywał wysoki, gruby kołnierz czarnej koszuli, natomiast na klatce piersiowej spoczywała kamizelka z drucianym szkieletem. Taki pancerz chronił noszącego go człowieka przed wszystkim, na co ten mógł natrafić w dziczy. Dobrze się w tym sprawdzał, jednak nie miał nic wspólnego z komfortem. Jego taśmy wrzynały się w ciało, sprawiając, że nie dało się go nazwać wygodnym, ale przynajmniej przypominał użytkownikowi o tym, co czeka go na wypadzie. Do kompletu dawano również grube bojówki o ciemnej barwie, których kieszenie potrafiły pomieścić wiele przydatnych gadżetów mających ułatwić przetrwanie poza cywilizacją. Prawdziwym majstersztykiem okazywały się natomiast buty. Wygodne i trwałe. Wykonane z prawdziwego rarytasu w Nowym Świecie, czyli skóry. Sprawiały, że gdy człowiek je wkładał, od razu chciał przejść kilka kilometrów.

– Dokąd dalej? – warknął podenerwowany. – Dokąd dalej?! – powtórzył jeszcze głośniej. – Na zachód? Na północ? Da się w ogóle dojść jeszcze dalej?

Diabeł wzruszył jedynie ramionami, dając jednocześnie znak, że wycofuje się z rozmowy. Błady to zrozumiał i kontynuował marsz. Postanowił przejść jeszcze parę kroków – w końcu nie na darmo szli tutaj te kilka dni, nadstawiając karku i żegnając się z kolejnymi towarzyszami. Kilka metrów na pewno im nie zaszkodzi, a kto wie? Może po drugiej stronie grobli znajdą to, po co przemierzali tę drogę?

No właśnie – drogę. Była długa i męcząca, nie obyło się też bez ofiar. Z całego oddziału została tylko ich trójka. Amunicja również się kończyła. Co prawda mięśnie mówiły im, że mają jej aż w nadmiarze, lecz w rzeczywistości starczyłoby jej jedynie na jedno większe starcie, a przecież trzeba jeszcze wrócić. Wszystko to sprawiało, że żaden z nich nie tryskał entuzjazmem. Morale leciało na łeb na szyję po każdym kroku. Wszyscy byli zmęczeni i głęboko zastanawiali się nad tym, czy nie byłoby lepiej strzelić sobie w łeb, niż wracać tam, skąd przybyli.

Dlatego właśnie Blady martwił się o Diabła. Tak, pod tą gumową maską na pewno wciąż krył się szeroki uśmiech, a sam głos jego przyjaciela bynajmniej nie sprawiał wrażenia, jakby humor nie dopisywał jego właścicielowi, ale on go znał. Wiedział, że ten uśmieszek i wtrącane do rozmów żarty, które chyba nigdy mu się nie kończyły, były jedynie przykrywką do tego, co w nim siedzi. Miał depresję. Już nieraz całował się z lufą pistoletu. Nieraz Blady musiał wyciągać go z pijackiego szafu w kantine. Chujowy towarzysz broni podczas wypadów? Może i tak, ale dowódca wiedział, że w ich szeregach zdarzali się gorsi. Poza tym był jego przyjacielem od lat. Wolał już od czasu do czasu użerać się z nim niż z którymś z idiotów, których nigdy przecież nie brakuje.

Kukła, widząc, że jego kompani ruszają dalej, zdjął rozpylacz z ramienia i pewnym krokiem szedł groblą, wciąż lustrując najbliższą okolicę. Diabeł i Blady ubezpieczali się nawzajem, wodząc naokoło lufami swoich tarków, czyli czegoś, co dawniej można by było nazwać pistoletami maszynowymi. Razem deptali sprzętowaną, roślinną o grubych, spiralnych łodygach. Miażdżyli jej zardzewiałe źdźbła podeszwami ciężkich buciorów i brnęli dalej przed siebie, zostawiając za swoimi plecami ruiny jakichś drewnianych zabudowań.

Każdy krok przybliżał ich do ściany drzew na drugim brzegu. Widzieli ich chude pnie owinięte błyszczącą aluminiową folią, a także głośniki, które nieudolnie próbowały udawać sęki. Nieco wyżej, wśród gałęzi pokrytych papierem ściernym, wiły się miedziane kable, zaizolowane gumą i przypominające potężną porcję spaghetti.

Gdy podeszli nieco bliżej, mogli już dojrzeć żarówki wystające spod całej tej masy przewodów. Te szklane bulwy zwyczajnie wyrastały z szorstkiej, łuszczącej się kory, jakby myślały, że są owocami tego drzewa i że zamiast zwykłego żarnika mają w sobie nasionko, które w przyszłości ma dać początek nowej roślinie.

Blady szybko się opamiętał i oderwał od nich wzrok, rugając się w myślach za to, że zamiast skupić się na otoczeniu, podziwiał florę Nowego Świata.

Przecież nie po to tu przybyli. Mieli szukać ocalańców. Innych ludzi, którzy przeżyli Phenomen – katastrofę winną tego, jak wygląda współczesny świat. Niestety, wyprawy ich oraz innych zwiadowców, choć z początku bardzo owocne, od kilku lat nie przynosiły żadnego efektu. Grupy rozpoznania zapuszczały się już coraz dalej na niezbadane tereny, pełne dzikiej fauny i niebezpiecznej flory Nowego Świata, stworzonych przez kataklizm. Owszem, znajdowano ciekawe miejsca, takie jak dawne garaże, sklepy, hurtownie i magazyny, zwane monumentami Dawnego Świata, którego wspomnienia zatarły się już w głowach ocalałych. Takie budynki zawsze pełne były przydatnych materiałów i surowców niezbędnych do przeżycia. Na ich nieszczęście, nie natrafiano na nic innego. Żadnych ludzi. Żywych czy też martwych – a to bardzo negatywnie wpływało na morale wszystkich grup oraz reszty ocalańców.

Jakby tego było mało, żadna z dotychczasowych prób dopasowania okolicznych terenów do znalezionych map się nie powiodła. Nikt nie miał więc pojęcia, gdzie konkretnie się znajdują i czy w ogóle wciąż przebywają na tej samej planecie. Zupełnie tak, jakby katastrofa przeniosła ich w inne miejsce albo przemogłowała cały świat z góry na dół.

Pomimo tego wszystkiego nie poddawano się. Wysyłano i tworzono kolejne grupy zwiadowcze, opracowywano nowe technologie, pilnowano, aby gatunek ludzki przetrwał, rozmnażał się i rozwijał. I przez pewien czas wszystko szło gładko. Dopiero potem Nowy Świat zaczął się bronić przed ekspansją dawnych lokatorów.

Rzeczy, o których opowiadali zwiadowcy... Wciąż mutujące zwierzęta, jakie spłodził Phenomen. Dziwne rośliny i zjawiska, o których nikt wcześniej nie słyszał, jasno dawały do zrozumienia, że jeśli gatunek ludzki szybko nie wymyśli czegoś, aby znów

stanąć na nogi i ponownie zostać tym królującym w przyrodzie, to w oczach Nowego Świata będzie tym, czym dinozaury dla Dawnego. Zwykłą pamiątką, zagrzebaną w warstwach ziemi. Kolejną epoką, która tylko czeka, aby ktoś odkopał ją z fundamentów czasu i wyeksponował w muzeum.

– Zaczekaj – odezwał się Diabeł.

Blady momentalnie stanął w miejscu, zupełnie jakby dostał paraliżu. Pewnie ścisnął tarka i wyteżył wzrok w poszukiwaniu niebezpieczeństwa.

– Co jest? – spytał wreszcie, gdy zobaczył, że jego kolega nie robi tego, co on, lecz patrzy czujnie na groblę z Kukłą.

– On chyba coś widzi.

– Co? Ludzi? – Nadzieja wręcz wylewała się z jego ust.

Wtedy też do jego uszu doszedł powolny odgłos odciągania zamka rozpylacza i szuranie metalowych szczudeł Kukły.

– Nie – odparł szybko Diabeł i przystawił tarka do ramienia, celując gdzieś między ich kompanem na drugiej grobli a żyłt-kokrzewem na brzegu.

Blady dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez dłuższy czas zmierzali do istnej ściany tych pełnych ostrych brzytw za-rosła i jak niedoświadczony żółtodziób nawet nie pomyśleli o zachowaniu ostrożności. Zanim zdążył się skarcić w myślach i nawrzucać sobie od najgorszych, zaryczał rozpylacz. Kanonada ołowianych pocisków z ciężkiego karabinu maszynowego ruszyła w stronę zagrożenia skrytego za krzakami. Wszystkie te metalowe pociski poleciały przed Kukłę, ryjąc ziemię jak miniaturowe krety z ADHD po kawie.

Cokolwiek tam było, doświadczyło olbrzymiej mocy rozpylacza. Na nieszczęście zwiadowców wcale nie rozwiązało to ich problemu. Cała trójka usłyszała charakterystyczny dźwięk, coś jak chrupanie połączone z pękaniem metalu.

– Kurwa – podsumował Blady.

Potem zryty przez rozpylacz kawałek grobli dosłownie eksplodował lawiną rdzy, rur oraz betonowych kawałków. Wkrótce

z powstałej w ten sposób chmury pyłu wyskoczyły brązowe, obrośnięte miedzianym pancerzem stwory.

– Mrowiki! – krzyknął Diabeł, ale nie zaczął strzelać.

Czekał.

Metrowe potworki z kilkudziesięcioma metalowymi odnóżami ruszyły w stronę Kukły, wyciągając do niego ręce z gwoźdźmi zamiast szponów i otwierając paszcze pełne szpilek. Jego towarzysze na drugiej grobli doskonale widzieli, jak mrowiki wlepiają łakome spojrzenia ogromnych, szklanych oczu w ich kolegę, ale wstrzymywali się z użyciem tarków, pozwalając rozpylaczowi na solowy koncert. Kukła, z uśmiechem na ustach, nacisnął spust, a jego karabin ryknął na całe gardło, zagłuszając śmiech swojego operatora i pokrywając ołowiem jeszcze większy obszar grobli, dziurawiąc ją i wzbijając obłoki kurzu. To jednak nie wystarczyło, aby powstrzymać nadciągającą, miedzianą śmierć. Fala monstrów Nowego Świata się nie kończyła. Pomimo deszczu rozgrzanego metalu coraz więcej wychodziło ich spod ziemi i z wściekłością szarżowało na agresora, który śmiał zakłócić ich spokój.

– Już? – spytał Diabeł.

– Czekaj – odparł Błady, mocując na grobli śrubnik.

– Teraz? – W głosie rudowłosego dało się słyszeć niepokój.

– Jeszcze drugi – syknął dowódca, ponownie nurkując w plecaku.

– Zaraz go zeżrą! – krzyknął, pogrążony w panice.

Słyszając to, Błady zerwał się jak oparzony, trzymając w ręku żeliwny dysk, aby następnie pędem rzucić się do brzegu, z którego przybyli. Gdy tylko przebiegł pod lufą kolegi, schylając się przy tym jak najniżej, dał mu znak, że może zaczynać. Nie trzeba było długo czekać na reakcję. Diabeł odciągnął zamek. Teraz nie miał już odwrotu. Pistolet zaczął wypluwać z siebie ołów, przerabiając owady na durszlaki. Prując do mrowików, zwiadowca nie stał w jednym miejscu – biegł za Bładym, wciąż celując w chmarę i starając się ubić jak najwięcej z nich.

Lecz wcale nie oznaczało to końca ich kłopotów.

Wraz z oddaniem pierwszego strzału przez Diabła ich grobla również stała się celem inwazji monstrów. Wskoczyły spod ziemi, wyrrywając przy tym kable oraz żyłtokorzewy i pędząc ku drużynie na złamanie karku.

Właśnie na taką ewentualność potrzebny był im śrubnik. Zanim owady zdołały się do niego zbliżyć, uzbrojony ładunek zareagował na mocniejsze drgania i wybuchł, rozsiewając dookoła jeszcze większą fontannę ziemi oraz stalowoszarej wody, która wystrzeliła na jakieś dziesięć metrów w górę, przy okazji całkowicie niszcząc jedną groblę i odcinając mrowikom dostęp do dwójki ludzi.

Problem nadal miał jednak Kukła. Mimo że zaczął się wycofywać, wciąż obsypując przeciwników metalem, monstra Nowego Świata ani myślała przestać.

Wręcz przeciwnie.

Im więcej miedzianych ciałek posiekał rozpylacz, tym zacieklej pędziły ku swej ofierze, zupełnie tak, jakby to chęć mordy i pomszczenia braci pchała je do przodu.

– Rzucam! – krzyknął Blady i szarpnął za linkę wystającą ze śrubnika.

Urządzenie od razu wydało z siebie zgrzyt, po czym jego spód, zrobiony z ostrza piły tarczowej, zaczął się obracać, wyrzucając z siebie kłęby brunatnego dymu. Kiedy dźwięk maszyny dotarł do uszu Kukły, ten momentalnie padł na ziemię i przygotował się na eksplozję. Po kilku zgrzytnięciach ładunek, wyglądający jak frisbee na sterydach, doleciał na miejsce i wgrzył się w grunt zębami piły. Potem zawarczał, zatrząsnął się i pożegnał część mrowików oraz kawałek brzegu, robiąc z nich konfetti. Niedobitki potworów zostały jeszcze poczęstowane ołowiem z rozpylacza i po chwili zapadła głucha cisza.

Korzystając z okazji, cała trójka pobiegła tam, skąd rozpoczęła swój marsz, czyli pod ściany drewnianych ruin na brzegu, gdzie zdyszani po morderczym biegu i z drżącymi rękoma zebrali się w zwartą grupę.

– Myślisz, że mrowiki zajęły się tutejszymi? – Blady spytał o to Kukłę, wskazując na miejsce, gdzie dopiero co znajdowała się jeszcze chmara owadów.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową, nabierając powietrza w płuca i wydychając je z rozkoszą. – Ale posiekało się ich, jak trza było. Już się bałem, że nudno będzie.

– Co się stało ze wszystkimi ludźmi? – Dowódca rozglądał się dookoła. – Gdzie się podziali?

– Może horda się nimi zajęła? – spytał operator rozpylacza, zapalając skręta od rozgrzanej do czerwoności lufy.

Blady obdarzył go jedynie zimnym spojrzeniem i nic nie odpowiedział, co dało Kukle pole do popisu.

– Ale może nie jest aż tak źle. Może po prostu pamiętają czas Rokoszu i się przed nami chowają? – Trzymając papierosa w zębach, zwinął dłonie w tubę i zaczął krzyżeć: – Hop, hop! Słyszycie nas?! Jesteśmy tymi dobrymi! Nie chcemy was wyróżnić!

– Chłopaki... – Diabeł odwrócił się w stronę grobli.

Dowódca go zignorował. Zbyt mocno skupiał się na Kukle. Doskonale wiedział, że ten gigant z metalowymi szczudłami zamiast kończyn tylko czeka, aby rozpocząć z nim kłótnię. Uwielbiał się droczyć i denerwować innych. Wolał więc zmierzyć go wzrokiem i ze zniecierpliwioną miną poczekać, aż olbrzym skończy tę dziecinadę.

– Szefie... – Diabeł spróbował jeszcze raz.

– Nic. – Kukła wzruszył ramionami. – Być może ich tu nie ma. – Zachichotał i umilkł. Najwyraźniej znudziła go ta zabawa.

– Przecież muszą...

– Kurwasz mać! – wrzasnął Diabeł, jednocześnie przeładowując tarka i przyciskając go do ramienia.

Tego już nie mogli zignorować. Natychmiast unieśli broń i spojrzeli przez celowniki w miejsce, które wskazywał ich kompan, a to, co ujrzeli, sprawiło, że nogi się pod nimi ugięły. Po drugiej stronie zbiornika z metalem, tam, gdzie znajdowało się gniazdo mrowików, coś się ruszało. Na początku było to tylko

zwykłe drzenie żyłtkokrzewów, lecz potem zatrzęsła się cała ziemia, a drzewa zaczęły się przewracać niczym ogromne domino. Później w górę wzbila się chmura szarej ziemi, przyozdobiona kurzem, rurami, a nawet wrakami aut i betonowych głazów, które do tej pory spoczywały pod grubą warstwą gleby. Gdy pył już opadł, oczom oddziału ukazał się ogromny mrowik, większy niż wszystkie, które do tej pory widzieli, i zupełnie inny.

Był wielkości domu, miał cztery pajęczne nogi, wystające z miedzianego, lśniącego tułowia, i szyję długą jak u żyrafy, którą zdobiła głowa niepokojąco podobna do ludzkiej, ale pokryta mosiężnym pancerzem. Z jego paszczy sterczały krzywe szpilkowe zęby.

– Co to jest?! – wrzasnął Kukła, a wraz z nim ryknął rozpylacz.

Seria pocisków powędrowała w stronę monstrum, lecz jedynie zarysowała miedziane płyty na tułowiu i szyi giganta.

– Wstrzymaj ogień! – krzyknął Blady, nawet nie spoglądając w stronę swojego towarzysza.

O dziwo, zdołał przekrzyczeć kanonadę rozpylacza, który już po chwili umilkł, pozwalając mu kontynuować wydawanie rozkazów:

– Do środka. – kontynuował, patrząc na ruiny chat, przy których stali.

Nikt nie zareagował na to wymamrotane polecenie. Obaj jego towarzysze stali jak kołki, wpatrując się w nadciągającą falę śmierci z żuwaczkami.

– Powiedziałem: do środka! – warknął, jednocześnie popychając ich w kierunku opuszczonego miasta.

Salwując się ucieczką, raz po raz spoglądał za siebie. Wiedział, że to go tylko spowalnia, lecz wątpił, aby którykolwiek z nich był na tyle szybki, aby uciec olbrzymiej bestii. Teraz musieli coś wymyślić, zaszyć się w lesie, znaleźć kryjówkę wśród rozpadających się ruder, obmyślić plan. Nie wiadomo kiedy na dachach otaczających ich budowli zaczęły siadać kolejne stwory. Na szczęście dużo mniejsze, podobne do poprzednich owadów,

ale za to dysponujące przezroczystymi skrzydłami z elastycznego kompozytu. Machały nimi z niesamowitą prędkością, wydając przy tym charakterystyczny dźwięk, który bynajmniej nie pocieszał biegnących zwiadowców. Jakby tego było mało, kiedy tylko potwory zamknęły wokół nich swój pierścień, zaczęły pluć w ich stronę czymś, co śmierdziało, bulgotało i wyglądało na kwas. Kilka takich pocisków upadło niebezpiecznie blisko stóp oddziału, tworząc w ten sposób niewielkie, dymiące kałuże, w które lepiej było nie wdepnąć.

– Giń, paskudo! – krzyczał Diabeł, strzelając z mizera, półautomatycznego pistoletu, równie kanciastego, co niezawodnego.

– Padnij! – wrzasnął Kukła, ładując nowy magazynek do rozpylacza i odciągając zamek.

Żadnemu z nich nie trzeba było dwa razy powtarzać. Bezwłocznie położyli się na brzuchach, a następnie przekręcili na plecy, wyciągając z kabur półautomatyczne pistolety. Wtedy kolos na metalowych szrudłach nacisnął na spust, po czym zaczął kręcić się w kółko, obsiewając najbliższy teren ołowianym deszczem i eliminując robactwo. Obaj kompani pomagali mu przy tym, oddając bardziej celne strzały do leżących na ziemi niedobitków lub tych potworów, których jakimś cudem nie dosięgła seria z rozpylacza.

– Czysto – powiedział Kukła, gdy wszelkie robactwo zostało strącone z dachów.

Ale to nie był koniec.

Ogromny mrowik nadal szedł ku nim, brnąc przez stawy ze stalowoszarą wodą, jakby były to zwykłe kałuże; co gorsza, na jego pancerzu zaczęły pojawiać się dziwne, sześciokątne otwory, podobne do tych na plastrach miodu. Niestety, pomimo znajomego wyglądu wcale nie wyciekała z nich ta słodka, złota substancja, lecz kolejne porcje latających owadów z błyszczącymi, szklanymi ślepiami. Widok tej miedzianej chmury i szelest skrzydeł sprawiły, że przez plecy trójki zwiadowców przeszły zimne dreszcze.

Blady rozejrzał się wkoło, szukając... sam nie wiedział czego. Chyba po prostu oczekiwał cudu. Zewsząd otaczały ich tylko próchniejące ruiny i stare rudery, gotowe rozpaść się przy mocniejszym podmuchu wiatru. Próżno było mieć nadzieję, że zdołają powstrzymać nacierający rój.

Nie mieli jednak innego wyjścia.

– Tam – mruknął dowódca, wskazując najbliższy dom. – Włazić.

Nie różnił się on zbyt od wszystkich innych. Przeżarte czasem bale drewna, pordzewiałe gwoździe i przegniły dach. To nie były typowe cechy najlepszego na świecie bunkra, lecz nad resztą okazów tutejszej architektury ten miał pewną przewagę – znajdował się nad wodą. Sterczące w bajorze pale utrzymywały go w miejscu, nie pozwalając opaść na dno, a co ważniejsze, nie dając mrowikom możliwości podkopania się. Weszli do środka, zanadto się nie spiesząc. Chyba powoli zaczęli godzić się z losem.

– Dobra – powiedział Kukła, zamykając za wszystkimi drzwiami. – Fajnie było, ja lecę.

Wyciągnął z kabury na pasie mizera i przyłożył go pod brodę.

– Nie, Kukła, czekaj! – Blady próbował go powstrzymać. – Może jeszcze da się coś zrobić.

– Powodzenia – pokiwał głową. – Wolę to, niż być pocięty przez te ich żuwaczki.

Gdy skończył mówić, nacisnął spust. Rozległ się huk, a ściana za nim pokryła się czerwoną papką, zmieszaną z gęstą mazią, której koloru nie sposób było opisać.

– I chuj – podsumował Diabeł.

– Jak wyjdziemy stąd cali... to go zabiję – warknął.

– No... to masz jakiś plan? Czy też strzelamy sobie w łeb?

– Masz śrubniki?

– Dwa – potwierdził.

– A granaty?

W ramach odpowiedzi Diabeł wskazał jedynie na trupa Kukły i przewieszony przez jego ramię pas z czarnymi puszkami.

– Wyciągaj śrubniki i ustaw opóźnienie.

To powiedziawszy, podbiegł do truchła z dziurą w głowie, zerwał mu z piersi ładunki i wrócił do towarzysza, który już wyłożył na ziemię dwa zębate dyski.

– Kaseton?

– Masz lepszy pomysł?

Bez dalszego gadania obaj przyklękli i zaczęli wkładać granaty do otworów na wierzchu śrubników.

Kiedy tylko skończyli, dach nad ich głowami zaczął trzeszczeć, pękać i rozpadać się na mniejsze elementy, aż w końcu pomiędzy belkami i dachówkami ukazały się żuwaczki latających mrowików. Przecinały każdą rzecz, jaka stawała im na przeszkodzie, torując sobie w ten sposób drogę do zdobyczy.

– Zaraz zwałą nam ten budynek na głowę – stwierdził Diabeł.

– Jak tylko zobaczysz otwór, to rzucaj śrubnik – odparł Błady, wskazując na dach.

Na wspomniany otwór nie trzeba było długo czekać. Dosłownie po paru sekundach żuwaczki mrowików przebiły dachówki na wylot, wpuszczając do środka pomieszczenia nieco bladego światła. Potem w stropie zaczęło pojawiać się coraz więcej takich dziur, aż zaczął on niebezpiecznie głośno skrzypieć.

– Wał w wodę! – krzyknął Błady, rzucając dyskiem i biorąc do ręki przewieszzonego przez ramię tarka.

Diabeł zrobił to samo i chociaż przez moment szarpał się z linką od śrubnika, to już wkrótce dołączył do swojego dowódcy, strzelając we wszystko, co znajdowało się nad ich głowami. Niestety, dziury wybite przez pociski, chociaż niewielkie, były czymś, czego stary dach nie mógł wytrzymać – bez jakiegokolwiek ostrzeżenia runął na dwóch strzelających zwiadowców. W tym samym czasie dyski wypluwające z siebie brunatny dym leciały już nisko nad taflą metalowej wody, delikatnie ją muskając, aż wreszcie sprężynowy mechanizm powiedział „dość” i kazał wyrzucić załadowane granaty, dając tym samym rozkaz do

samozniszczenia. Oba śrubniki eksplodowały jednocześnie, a po nich wybuchły również i ciemne, walcowate puszki. Efektem tego była wysoka na jakieś dziesięć metrów kolumna szarej cieczy, trafiająca prosto w podbrzusze kroczącego mrowika giganta. Oblepiała je i zastygła, spajając też nogi, które i tak ucierpiały podczas wybuchu. Czymkolwiek była ta substancja, nieosłonięty miedzią brzuch stwora musiał źle na nią zareagować. Świadczyły o tym ryk bestii i jej bezskuteczne próby miotania się na wszystkie strony. Nogi monstrum nie mogły nawet drgnąć i ich właściciel wkrótce runął w dół. A gdy już to ogromne, owadzie cielsko wpadło do zbiornika, wybiło w górę wodę, która następnie zaczęła wracać na ziemię w postaci deszczu...

Owady najwyraźniej wiedziały, co to oznacza, i nawet nie próbowały już atakować. Po prostu stanęły w miejscu i spojrzały na opadający kapelusz wody. Kiedy pierwsze krople żelaznej cieczy wylądowały na ich miedzianych pancerzach, hybrydy ograniczyły się jedynie do zamknięcia oczu. Wówczas Błady dostrzegł w nich małą iskierkę człowieczeństwa. Tę niewielką część, której nie zabrał z nich Phenomen. Zwyczajnie opuściły powieki, zupełnie jakby godziły się ze swoim losem i ze śmiercią. Pod koniec zwiadowca nie był już pewien, czy to wyobraźnia płata mu figle, czy może dzieje się to naprawdę, lecz na twarzy jednego z nich, tego, który już chciał skoczyć do jego gardła, zauważył... smutek.

Potem świat zasnęła ciemność.

To Diabeł wygrzebał skądś duży kawał zawalonego dachu i osłonił ich obu przed tajemniczą substancją. Przez pewien czas panowała zupełna cisza, lecz w końcu do ich uszu doszedł najdziwniejszy głos, jaki mogła wydać z siebie śmierć. Słyszeli już wiele najróżniejszych jej śpiewów: huk eksplozji, terkot karabinu, krzyk rozszarpywanych ludzi czy też chrapliwe rżenie duszonych. Wszystkie te odgłosy wydawały im się normalne, a przynajmniej pasujące do czegoś takiego jak koniec życia.

Ale to?

Pośród otaczającego ich mroku usłyszeli tylko deszcz. Nie jak podczas burzy, ulewny i intensywny. Raczej zwykłą mżawkę, kapiącą jedynie kilka chwil, aby następnie odejść w zapomnienie. Ten łagodny dźwięk, który kojarzył im się z rozmażanym już wspomnieniem z Dawnego Świata, oznaczał, że w te okolice zawitał szkielet z kosą w dłoni. Rezultat spostrzegli dopiero, gdy zdołali zrzucić z siebie prowizoryczną osłonę z kawałków dachu.

Dookoła nich rozciągał się dziwny widok. Wszystkie mrowiki stały dokładnie tak jak przedtem, z tą różnicą, że teraz pokryte były tą szarą substancją przypominającą cynę. Oblepiała je ze wszystkich stron, zamykała w szczelnym kokonie i nie pozwalała choćby drgnąć. Nawet jeśli jeszcze żyły, to już niedługo. Zapewne powoli umierały z braku powietrza w swoich małych więzieniach. Jeżeli natomiast tlen jakimś cudem do nich dochodził, to czekała je śmierć głodowa. Podobnie skończyły również i te latające. Po kontakcie z substancją ich skrzydła straciły zdolność swobodnego ruchu, a grawitacja zakończyła ich żywot, pociągając je w odmęty stawu lub wprost na twardą ziemię. Budziło to skojarzenie z muzeum: wszystko to wyglądało jak wytopione z metalu posągi i statuy ustawione w pierścieniu wokół nich.

– Kurwa – stęknął Diabeł, co raptownie wyrwało Błatego z zamyślenia.

– Co jest?

– Moja noga. – Wskazał głową na prawą kostkę.

Mieli problem.

Pech chciał, że fragment dachu, którym osłonili się przed stalową fontanną, nie wystarczył, aby zakryć ich całkowicie. To poskutkowało upadkiem paru kropel metalu na nogę Diabła. Oblepiły one jego skórę. Żaden z nich nie wiedział, co powinni teraz zrobić. Nie mieli też pojęcia, jak ta dziwna substancja wpływa na człowieka. Czy pozostawia po sobie tylko tę siwą plamę? Czy może się rozprzestrzenia i powoduje niszczenie or-

ganizmu? A może zmienia ludzi w mrowiki? Przecież te tutaj musiały jakoś powstać.

– Kłopotów ciąg dalszy – westchnął Blady, ściągając hełm z głowy.

Oparł się o zbutwiałą ścianę i rozczesał ręką gęste, przystrzyżone na jeża, brązowe włosy. Pomimo grubej nylonowej rękawicy poczuł pot, który magazynował pod hełmem już od dobrych kilku dni. Gdyby to była normalna sytuacja, zapewne siedziałby teraz nad swoim kompanem, próbując mu jakoś pomóc, jednak wiedział, że nie ma sensu się spieszyć. Nie miał przecież pojęcia, co robić w tej sytuacji, a do najbliższego szpitala mieli jakieś... No było daleko.

Postanowił więc wykorzystać ten moment spokoju na zasłużony odpoczynek. Wreszcie jego blada skóra mogła odetchnąć, a on mógł poczuć na sobie chłodne powietrze, które ciągnęło od dziwnej wody oraz obryzganym przez nią mrowików. Wziął głęboki wdech, jednocześnie zamykając swoje niebieskie oczy i lekko zadzierając głowę ku górze.

Nie wiedział, ile czasu tak spędził. W Nowym Świecie, a zwłaszcza dla nich, żyjących w dziczy, coś takiego jak czas nie miało najmniejszego znaczenia.

Powieki uniósł dopiero wtedy, gdy miał taką potrzebę, gdy poczuł, że powinien to zrobić. Przez moment wpatrywał się w niebo pełne brązowych chmur, a potem spojrzał na Diabła. Mężczyzna miał zamknięte oczy, ale jego klatka piersiowa pod fioletowo-czarnym, odrutowanym kombinezonem unosiła się i opadała.

Czyli jeszcze żył.

„Całe szczęście” – pomyślał dowódca.

Jednym szybkim ruchem Blady naciągnął na twarz maskę, zakrył głowę hełmem, i przeładował tarka. Potem szturchnął lekko Diabła i gestem nakazał mu się przygotować. Podobnie jak wtedy na grobli, nie musiał powtarzać dwa razy. Jego towarzysz od razu nałożył taką samą, gumową maskę, po czym chwycił

hełm, posadził go na głowie i zapiął pod brodą. Nie minęło wiele czasu, a już na dowódcę patrzyła para zielonych oczu, skryta za dwoma okrągłymi wizjerami.

– Dobra, nic tu po nas – stwierdził Blady, oglądając ranę Diabła. – Posiedź jeszcze trochę i przypilnuj, żeby jakieś inne cholerstwo nas tu nie zaskoczyło. Ja zajmę się sprzętem Kukły.

Podszedł do zwłok. Wiele razy widział już coś takiego lub nawet gorsze rzeczy. Niektórzy ze zwiadowców wymyślali najróżniejsze sposoby, żeby się zabić. Począwszy od szubienicy, aż po skok z urwiska albo drzewa. Raz miał nawet do czynienia z odgryzieniem języka. Z tego, co słyszał, było to bardzo bolesne.

Postanowił o tym nie myśleć i wykonać robotę, jak najszybciej tylko mógł. Pierwszym, co w ogóle przyszło mu do głowy, był rozpylacz. Potężne i ciężkie działo, zdolne zatrzymać niejedną bestię swoją siłą ognia, leżało sobie na plecach dwuipółmetrowego olbrzyma z żeliwnymi szczudłami w miejscu odciętych nóg i skomplikowanym mechanizmem zamiast ramion.

Właśnie dlatego nazywano go Kukłą. Nie dość, że z tymi swoimi gadżetami wyglądał jak dziwna lalka, to nie mógł bez nich kompletnie nic robić, zupełnie jak zabawka obsługiwana przez animatora.

Jak widać, Nowy Świat – pomimo wszystkich swoich okrucieństw – miał też i swoje zalety. Technologia, pozwalająca stworzyć mechanizmy zdolne zastąpić ludzkie kończyny, powstała stosunkowo niedługo po Phenomenie. Oczywiście udoskonalenie jej do tego stopnia, jak u ich towarzysza, wymagało nieco więcej czasu, lecz nie stanowiło to wielkiego problemu. Tym sposobem po nowym globie chodziło już sporo takich blaszaków, odnoszących ogromne sukcesy w potyczkach z wszelkimi mieszkańcami dziczy.

Po zdjęciu ciężkiego karabinu ze zwłok giganta Blady sprawdził, czy na dnie pudła z taśmą amunicyjną nadal spoczywają jakieś metalowe szerszenie. Miał ogromną nadzieję, że ich towarzysz wystrzelał wszystko do cna, jednak tym razem nie

poszcęściło mu się. Kilka pocisków nadal czekało w kolejce do bycia wyplutymi z lufy tej żelaznej bestii. Błady jedynie westchnął zrezygnowany i otworzył komorę zamka. Odłączył resztę taśmy, pozostawiając w broni ostatni, równie upierdliwy co wielkokalibrowy nabój. Łatwiejsze miał za sobą. Teraz chwycił dźwignię zamka oburącz i zaparł się, chcąc ją odciągnąć. Po ogromnym wysiłku, jaki w to włożył, szerszeń wyskoczył z komory naboջowej rozpylacza i wylądował u stóp Diabła.

Dysząc ze zmęczenia, dowódca przeszukał trupa i wyjął z jego kieszeni wodoszczelny worek, a właściwie wór. Potem zapakował do niego ciężki karabin i wrzucił do środka każdy nabój, jaki tylko znalazł przy zwłokach kompana.

– Dobra, ze mną koniec – stwierdził Diabeł. – Pożytku ze mnie nie będzie.

– Zaczekaj. Wiesz, że samotne spacerowanie mi nie służy.

– Jak sobie chcesz...

To powiedziawszy, oparł się o jego ramię i ostrożnie wstał.

Błademu ciężko było opisać, jak bardzo zależało mu na tym, aby jego przyjaciel pozostał przy życiu. Wizja wracania samemu przez dzicz wcale nie należała do przyjemnych, nawet jeśli drugą opcją było tachanie rannego kompana.

– Nie zabieramy tego? – Diabeł wskazał na Kukłę, gdy już mieli wychodzić z ruin.

– Mówisz o jego szczudłach? – prychnął. – Wolał to załatwić szybko, to niech teraz ktoś po to wróci. Ja mam żywego człowieka do poniesienia.

– Będziesz musiał się tłumaczyć przed Piórkiem.

– I co mi zrobi? Zabije mnie?

Odeszli z miejsca, któremu postanowili nadać nazwę Galeria, i powoli, ślimaczym tempem, ruszyli w kierunku Fortecy – miejsca, z którego tu przybyli.